

Stanisław Chmara

Mieszka I 3 m 51.

BIALYSTOK



W chwili wybuchu drugiej wojny światowej uczyłem się w gimnazjum w Białymstoku. Było to gimnazjum im. Zygmunta Augusta. Ewakuowaliśmy się w dniach 13/14-go września. I byliśmy nawet pod Lidą. Rowerami. Kiedy wracaliśmy, ogarnęła nas kompania drugiego suwalskiego pułku ułanów.

Zapoznanie się z Sowietami nastąpiło dwudziestego drugiego września w Skidlu. Tu przesiedziałem czterdzieści osiem godzin, zatrzymany jako ochotnik polskiego wojska. A wiele ja wtedy miałem? Piętnaście, szesnasty rok tylko.

Potem nas wypuścili i wróciliśmy do domu. Szkoły już w poprzednim kształcie nie funkcjonowały.

Drugie zapoznanie się z Sowietami nastąpiła 11-go listopada na cmentarzu w Zwierzyńcu. To było w 1939-tym roku. Tym razem zatrzymano mnie na trzydzieści sześć godzin. Tak szukano prowodyrów. Bo jedenastego listopada młodzież zebrała się uczcić żołnierzy. Było nas tam jakieś półtora, może dwa tysiące. Zostaliśmy otoczeni potrójnym kordonem ze wszystkich stron. Były erkaemy i okrzyki "stój". Wszystkich nas załadowano do samochodów i powywożono. Powywożono nas w różne miejsca.

Ja wtedy trafiłem na ulicę Mickiewicza. Tam dawniej mieścił się urząd wojewódzki. Tam przesiedziałem trzydzieści sześć godzin. Tam mnie pytano o szczegóły: a co, a jak, a gdzie. Potem wypuścili. No, ale jednak zapisali.

Potem, jak uruchomiono szkoły - od stycznia 1940-go roku - poszedłem już do pracy. Pracowałem w fabryce włókienniczej. Początkowo pracowałem jako uczeń, a potem jako zwykły pracownik. Tu pracowałem przez cały czas to znaczy aż do wybuchu 22-go

czerwca 1941-go roku.

No potem, za Niemców, w 1942-gim roku - bo i przedtem były takie powiązania z młodzieżą, ale wiadomo to: jeszcze nic oficjalnego - otóż w 1942-gim roku była taka zorganizowana grupa "BOW" - Bojowa Organizacja Wschód. Czyli to był początek "Wachlarza". Potem w 1943-cim złączyliśmy się z AK. Cały czas, żeby być krytym wobec władz, musiałem pracować w fabryce włókna. Czyli pracowałem we włókiennictwie, bo wtedy Białystok z włókna słynął. Dzięki pracy unikałem wywiezienia, chociaż zagrożenie istniało.

Nasza działalność koncentrowała się na takiej drobnej dywersji. Szkolenia trochę przechodziliśmy z broni., ale z tym było słabo w naszej grupie włókienniczej, w tej sekcji, w której ja byłem. Ale jakoś szło.

Po wyzwoleniu byliśmy zameldowani tzn. że nasza działalność była znana nowym władzom. Po jakichś dwóch - trzech tygodniach byłem przetrzymywany, ale to nie długo - osiem godzin. Byłem przetrzymywany przy ulicy Ogrodowej, gdzie mieścił się kontrwywiad. Pytano: a co? A jak? A powiązania? To wszystko było na ulicy Ogrodowej. Odpowiadałem, że nic nie wiem. Ale jakoś wyszedłem.

Żeby być krytym, po miesiącu poszedłem pracować do młyna braniczków. Tam pracowałem. Z tego jednak wyszło, że mnie jednak wynaleźli. I nie było żadnego powołania czy coś, tylko wzięli, zawieźli do Dojlid i powiedzieli: o tu masz być.

Czyli zostałem wcielony: bez żadnego powołania tylko po prostu wcielony. Tam to było różnie. No, ale to wiadomo: Dojlidy nie tak daleko. To nie raz było tak, że tam położyliśmy się na noc, a ja wyrwałem się i poszedłem do domu. Byłem tam może z miesiąc, może więcej - nie wiem. Nawet pisałem w tej sprawie do archiwum, ale trzeba będzie pisać drugi raz. Bo faktycznie, u nich powinny być akta /w archiwum Wojska Polskiego/, że byłem. Bo byłem w kompanii po-

ruczniaka "Topora". Jeszcze pamiętam tego "Topora". Ale to już starszy człowiek. Miałem gazetki, które przynosiłem.

Oni tam nam broni nie dawali. To ja miałem swoją broń. A o broń chodziło też. Zostałem przekazany do NKWD. To już było gdzieś w październiku. Nie pamiętam, czy to był początek października czy może później. Zajęło się mną NKWD. Od razu byłem przewieziony do "dziesiątki" to znaczy do koszar dziesiątego pułku ułanów litewskich przy ulicy Kawaleryjskiej, a stamtąd - po parodniowym przetrzymaniu - do więzienia. Do więzienia przy Szosie Południowej - "najdłuższej ulicy."

Tu byłem dziesięć dni. Tu nikt nic nie wie: co i jak. Nocą zapakowali do wagonów. Były to wagony kryte. Ładowano według zasady: do wagonu dwuosioowego ładowano po pięćdziesięciu a do czterosioowych - po stu. Ładowano nas na dworcu Białystok Centralny. Tam zapakowali. Gdy nas wywozili, to wieźli nas przez Białystok Fabryczny. Tak przypuszczaliśmy i tak rzeczywiście było.

Kto tylko miał na czym, to pisał kartkę do rodziny. I tu na dworcu Fabrycznym jak sypnęli kartkami z wagonów, to transport zatrzymali. Ekipa ochraniaczy ganiała przechodzących obok ludzi, a kto podniósł kartkę, to nawet bili. A niektórych to nawet przetrzymywali. Bo jak sypnęło kartkami, to obecni w pobliżu ludzie zbierali.

I wtedy właśnie moja pierwsza kartka dotarła do domu. Pisałem ją chyba na pięćdziesięciozłotowym banknocie czy coś. Już tego nie pamiętam. Pisałem datę i że wywożę.

I powieźli nas od razu do Ostaszkowa. Jechaliśmy dwa tygodnie. Podróż była taka, że transport często się zatrzymywał. Jeść dawali: parę sucharów, trochę słoniny i woda. A wody to jak kiedy na stacji otworzą wagon. A w wagonie to też: szczelina wąska i tam rura do oprawiania się. I wagon nabitý ludźmi. I co wieczór sprawdzanie: czy są wszyscy. Czyli wagon i tak nabitý, a to przepędzają na jedną stro-

nę, ostukują młotkiem ściany - czy nie są podpiłowane lub coś podobnego - i potem pojedynczo liczą. Nie raz nie zgadzało się, bo tak robiono dla kawałów - że dwóch przemknie się i potem na końcu liczenia wychodzi na to, że kogoś nie ma. No to liczą drugi raz, potem trzeci raz. Nieraz było tak, że i po pięć razy liczyli. I na każdym wagonie z jednej i z drugiej strony siedzi i pilnuje, żeby nikt nie uciekł.

Gdzieś tak w początkach listopada trafiliśmy do Ostaszkowa. To był pierwszy transport, który trafił do obozu internowanych. Życie tam płynęło tak, jak to u internowanych. Do roboty to tylko we własnym zakresie. Nigdzie nas do pracy nie wyganiali. "Pajok" to był jeszcze do wytrzymania.

Gdzieś tak w marcu - kwietniu oni jednak swoją segregację robili. Bo tam byli różni ludzie: i współpracujący z Niemcami w tym Ostaszkowie byli i z AK, różni byli. To stamtąd już rozdzielali. Trafiłem do Riazani /Riazania/. W Riazani to już był obóz czysto akowski. Tam major Nowicki był całym szefem tego. Gdy w innych obozach nie było wolno śpiewać, to tam normalnie: poranny apel, wieczorny apel, śpiewane polskie piosenki.

No i tam zaczęli mocnie grzebać. Zaczęli rozgrzebywać - co jak. Gdzieś po pięciu miesiącach mnie wzięli stamtąd i przymknęli. Ze to druga konspiracja: gazetki i posiadanie łączności. Tak mi zaczęli "szyć" /przypisywać/.

A badania? Przesłuchujący niby był w polskim mundurze, ale ani słowa po polsku nie umiał. No i jak z nim? Ja wtedy jeszcze nic nie rozumiałem po rosyjsku. Tak, że nieraz bywało tak, że ty mówisz to a on pisze to. I potem podpisz. I wychodziło to, co oni chcieli. Tak to przebiegało.

Wtedy w Riazaniu zostałem oddzielony od obozu internowanych. Tam komendantem obozu - jeszcze pamiętam - był rotmistrz Sawicki

a całym szefem major Nowis. Tam przeważnie siedziała starszyzna. Tam była i grupa wileńska i grupa wołyńsko - lwowska i w ogóle różni. Tam, w Riazani było około czterech tysięcy Polaków. Tak to obliczano.

Tam oddzielili do KPZ, jak to oni nazywali: Kamera Politiczeskowo Zakluczenia. Oddzielili mnie i odwieźli do więzienia. Było to więzienie w Riazaniu.

W więzieniu czekałem trzynaście miesięcy. Nie było żadnej łączności, że na przykład można napisać list. Nic nie było. Nas tam było oddzielonych ze wszystkich tych grup ośmiu. Siedzieliśmy w celi w baszcie okrągłej dwa i pół metra. Siedzieliśmy tam w ośmiu, a czasami dziesięciu. Spaliśmy w ten sposób, że leżąc kierowaliśmy nogi do środka.

Po trzynastu miesiącach mnie wywołali i przynieśli wyrok. A tam mnie dwa razy badali. A te ich badania to też były, niech go gęś kopnie.

No, co powiesz? to. no, w porządku, idź. Tylko poszedł, zaraz znowu. To nieraz badanie trwało i tydzień i to bez snu w ogóle. Tak że człowiek po schodach już taczał się. ^Rraz dostałem w skroń i po głowie kolbą nagana. To było jeszcze w Białymstoku. Siedziałem, a on mnie trzasnął i upadłem. Że trzymał nagana nie widziałem, ale cholera strzału nie słyszałem, a to leżę bez przytomności. To zleli wodą i badanie trwało nadal. I to uciążliwe, że bez snu człowiek. A bez snu to wiele wytrzyma? Nie wytrzyma tak długo. A potem przychodzi rezygnacja: a pisz co chcesz.

Potem czekanie i wołają. Wyrok. Nie było żadnej rozprawy. A jaka tam rozprawa u nich? Osobozawieszczanie. Nikt nic nie wiedział - przynoszą wyrok. Tak i tak. Masz, podpisz się. Nie. A nie, to nie potrzeba. U nich to prosto. Wtedy dostałem wyrok pięć lat obozów /chyba/ a potem do ich dyspozycji.

No i wtedy z Riazani, po tym wyroku, na trzeci dzień, zabrali tam jeszcze kilku nas i utworzyli transport do Suchobezwodnoj. Było to nad rzeką Wiatką. Lasy. Obozy w tym terenie.

Tam trafiłem już do obozów pracy. A tam to co? Las. Dobrze trafiłem, bo obóz był już zagospodarowany. I tam też było pohad sześć tysięcy ludzi.

Jak nas przywieźli po południu, to na jutro rano musieliśmy być przygotowani do pracy. Wychodząc do pracy otrzymywałeś siekierę albo piłę w narzędziowni i do lasu. Od obozu było dziesięć kilometrów do miejsca, w którym walało się las. I tam musisz swoją normę zrobić. Jak normę wypełniłeś, to otrzymywałeś 650 gram chleba. A chleb był taki, że łyżką można było jeść, taki był przypiek napędzany. Zupa była gotowana - zwłaszcza na wiosnę - z pokrzywy i lebiody. A tak to kapusta z małymi szprotami. Było ich kilka. Na tym zupę gotowano. No i łyżka kaszy. To tylko ten chleb i ta kasza co mniej więcej trzymało.

Tam już było mocne osłabienie. Normy były wyznaczone na każdy asortyment drzewa, które trzeba było odpowiednio piłować; tyle masz na człowieka zwalić drzewa i odwieźć posegregowane na bazę, na punkt. Do transportu drzewa używano koni. Wożono specjalnymi saniami. Drogę nieraz specjalnie polewano, żeby wieźć. Latem jeżdżono na drażonych kółkach i na okrągłakach. Tak więc drogę budowano z kółków o średnicy 18-20 cm z jodełek i świergów. I ta droga ciągnęła się nieraz kilometrami. Była to więc droga układana z bali, bo inaczej nie można było na tych mokradłach. Na takiej drodze można było jeździć pojazdami odpowiednio naładowanymi. Był tam różny asortyment drzewa do wywiezienia.

Nie wyrobiłeś normy, to i miałeś słabą pajkę. Jak miałeś wyrobione osiemdziesiąt - dziewięćdziesiąt procent normy, to chleba tylko czterysta gramów. A gdy otrzymywało się czterysta gramów chleba, to na drugi dzień byłeś jeszcze słabszy i robiłeś jeszcze mniej.

I tak to się powiększało.

Gdy ktoś już padał, był dochodzący, to wtedy był kierowany na "OP", to znaczy oddychajuszczą pałata. Odoczynek, czyli otrzymujesz normalne wyżywienie, ale nie ganją do pracy. To trwało tak tydzień, a nawet dwa. Po odoczynku następowało badanie lekarskie - bo lekarz niby był - i znowu.

A lekarz, który był w Suchej bezwodnej na tym komendanckim punkcie, to była taka jedna dziewczyna, ale trzeba przyznać, że tylko po szkole. Komendant obozu wyznaczał jej limity. Mówił na przykład, że dzisiaj możesz zwolnić tylko piętnastu ludzi albo tylko dwudziestu. Mówił jej, ilu ona może zwolnić. A ona kierowała się rzeczywistym stanem zdrowia więźniów i nieraz dawała więcej. To on urządzał jej z tego powodu awantury. Doszło do tego, że ona na niego skargę pisała. Ponieważ ona nie mogła tego zrobić urzędową drogą, to robiła to jakimś innym kanałem. On zaś też pisał skargi na nią. Jakoś obie skargi dotarły do adresatów. Wtedy przyszła komisja i jak sprawdzili, to całą tę obsługę obozu zmienili. Ale i ją też zmienili.

Wtedy, przez najbliższych parę dni wyżywienie było trochę lepsze. Bo dotychczas było tylu pilnujących, których też trzeba było karmić. I to nawet ich lepiej.

U nich były taka zasada: najwyżej rok do półtora mógł być aresztant na jednym punkcie. Potem musiała nastąpić zmiana. Chodziło o to, żeby nie nawiązywał kontaktu. Bo jeśli nawiązywał kontakt, to zdaniem władz powstawały zbyt duże znajomości.

W naszej Suchobezwodnej, jak potem słyszałem, było trzydzieści sześć punktów. A w każdym punkcie cztery, sześć lub osiem tysięcy zakluczonych. To tylko tam było. I wszyscy byli zatrudnieni przy waleniu lasu. A jeden taki był szósty punkt, takie niby przedsiębiorstwo, że siedzieli na miejscu i pracowali. Cięli tam pleksę na różne

obsadki i takie różne rzeczy z tego. Tam były piła i prąd. Prąd używano na oświetlenie i w ogóle.

W końcu 1948-go roku władze uznały, że tu jestem za długo i przerzuciły mnie na Kazachstan. Tam kierowano politycznych. Bo tych bytowych traktowali inaczej: bandyta czy złodziej - to jeszcze nic. Natomiast polityczny był pilnowany inaczej. Była to tak zwana pięćdziesiąta ósma /pięćdziesiąty ósmy artykuł kodeksu karnego/. To było u nich najgorsze.

Więźniem politycznym było tam bardzo łatwo zostać. Wystarczało, że dwóch ludzi rozmawiało na jakiś obojętny temat a trzeci, mający do nich pretensje, zameldował o tym odpowiednim władzom, że to czy tamto powiedzieli. I to wystarczyło.

Spotykałem tam ludzi, którzy jeszcze z okresu Jerzowa czyli od 1936-go roku siedzieli w tych obozach i wytrzymali. Ale tych było bardzo mało. Mało ich spotykałem. Siedzieli tam nie tylko Rosjanie. Tam, w tych obozach była pełna międzynarodówka: Litwini, Łotysze, Estońcy. Spotykałem też Rumunów. Ukraińcy, Białorusy, Finowie. Spotykałem wielu.

W drodze przez pewien czas zatrzymano mnie w Kirowie. Ale tam do pracy nie wypędzano, bo był to obóz przesyłowy. I potem znowu załadowano nas do wagonów Stołypina. Specjalny wynalzca wagonów dla aresztantów. Przedziały były metalowe. Prycze, kraty i podłoga metalowa. Do przedziało ładowano piętnastu do osiemnastu ludzi. Tam stać nie było jak tylko leżącó. A wyjść, to tylko na komendę, czy chciał czy nie chciał. Gdy chciałeś za swoją potrzebą, to też stukasz, a on nie otworzy, bo jeszcze czas.

Przywieźli potem go Karagandy. Z Karagandy na samochody i do Spaska, który znajdował się czterdzieści kilometrów od Karagandy. Tam znajdował się niewielki obóz. Wprawdzie koło Karagandy znajdował się inny obóz, ale to był obóz przesylny. Nas skierowano wprost

do Spaska. Siedziało nas tu czterdzieści tysięcy w tym jednym obozie w stepie. Była tu praca w kamieniołomach. Łupanie kamienia. Do obsługi obozu zaangażowane było osiemnaście samochodów. Dowożenie żywności odbywało się właśnie tymi samochodami. Jeśli dwa lub trzy samochody wypadły, to już był brak żywności. Żywność dowozili z Karagandy.

Ponieważ ja znałem slusarkę, to tu już miałem lepiej, bo trafiłem do garażu. Pracowałem tutaj jako slusarz - mechanik samochodowy.

Tam byłem przeszło rok. Po roku miałem niby to koniec wyroku. Powiedzieli mi: zbieraj się. Myślałem, że już do domu. A tu gdzie. Tam wsadzili do takiego samego Stołypina i powieźli do Krasnojarska. Najbliższe dwa tygodnie spędziłem w więzieniu Krasnojarskim. Następnie skierowano mnie etapem na dworzec rzeczny. Tu załadowano mnie na statek "Maria Ulianowna" i płynąłem w dół. W dół rzeki Jenisiej. Jak nas tam było pięćdziesięciu dziewięciu, to ochrony było dziesięciu.

Załadowali nas tam, dali żywność - pajok. I to tobie ma starczyć. I to trwało dziewięć dni. Płynęliśmy do Dudinki. Jenisiejem w dół. Na tym statku chodziliśmy niby wolno pomiędzy ludźmi. Ale za każdym z nas śledził, ten który był. A tak to niby byliśmy niby wolni. Gdy pytaliśmy, dokąd jedziemy, zawsze otrzymywaliśmy odpowiedź: "zajediesz, to uwidisz". Zajedziesz, to zobaczysz, gdzie. Wreszcie dowieźli nas do Dudinki.

Ponieważ to był koniec czerwca i początek lipca, to od Tiuru-chańska co mnie zdziwiło: chodzisz i chodzisz i ciągle widno. A tam zaczęły się już okrągłe dni. A potem dalej, do Dudinki, to słońce nie zachodzi w ogóle. I dopiero wtedy z geografii przypomniałem sobie, że to już polarny krąg. Ale i do tego człowiek przywykł.

Potem w Dudince nas rozładowali. Część z nas odłączyli do Norylska. To było osiemdziesiąt kilometrów na kopalnię. Bo Norylsk to zagłębie: węgiel, nikiel, cynk, ruda żelaza. Tam były różne kopalnie. Tu nawet była, poza kręgiem polarnym, linia kolejowa do Dudinki. Bo trzeba powiedzieć, że od ujścia Jenisieja do Igarki to wchodziły normalne, atlantyckie statki. Dziesięciotysięczniki śmiało przechodziły. Ten forwater był tam na tyle otwarty.

W Dudince trafiłem na Ustportowską barcę. Barcę holował kuter. I nas pięćdziesięciu pięciu załadowano na barcę. Tamten, poprzedni nasz komendant zdał temu. A ten nas już do Ustporta prowadził. Na kutrze był szyper i jego pomocnik.

Nas załadowano do tryumu /ładowni/. Bo ta nasza barka miała wyporność jakie osiemdziesiąt ton. Była nieduża. Holował nas nieco silniejszy kuter rybacki.

Z Dudunki do Ustportu jest sto kilometrów. Do Ustportu zawieziono nas za dobę. W ustporcie dyrektor i inni, komendant Ustportu - wyprowadzili i pytają: rybaki? Nie ma. Ślusarzy trzeba. No to wystąpiłem. Zostawili w Ustporcie dwudziestu pięciu. A dwudziestu dziewięciu powieźli dalej, w dół, na punkty rybackie.

W Ustporcie funkcjonowała fabryka konserw. Był to większy zakład, przy którym istniały i kotłownia i slusarnia. Ponieważ ja znałem się na tym, to już tu do pracy zostawili. W osiedlu mieszkało gdzieś dwa do dwóch i pół tysiąca ludzi. Domki były drewniane. Wytwarzano różne konserwy. Były przeważnie białe, ale poza tym łapali i czerwoną rybę: jesiotr i ścierledź. Były to tam najsłynniejsze te ryby.

Tam to było to tak zwane "osiedlenie". I komendant cały był: co tydzień musiał się meldować w komendanturze. Tak nas uprzedził. A teraz jesteś oddany do dyspozycji fabryki konserw. Tu wszystkie mieszkania i domy były własnością fabryki konserw. I nas do tych mieszkań porozsyłali. A w tym Ustporcie była cała zbieranina. Byli

tam Jakuci. Byli też Kazasi. Większość, to byli zesłańcy. Tam "faktycznych", to było, mało. Byli tam: Lotysze, Litwini, Estońcy. Byli nawet Finowie. Byli i Mołdawii. Byli różni.

W naszej partii, z którą przybyłem, było trzech Polaków, Ukraińcy, Rumuni z Mołdawii a nawet Węgrzy. Po wszystkich obozach były różne narodowości. W pewnym obozie byłem przez rok i nie wiedziałem, że tam jeszcze było trzech Polaków. Niektórych to poznałem. Z pozostałymi zapoznałem się z tantymi. Bo tam nie było za dużo okazji do zawierania znajomości. Gdy tam człowiek popracuje dziesięć - dwanaście godzin w lesie i przyjdzie wymęczony, to tylko zje i prędej idzie spać. Odpocząć, bo jutro pobudka znowu. I nie zważają: deszcz nie deszcz czy zamieć - idź i pracuj.

W Ustporcie z fabryki dali po pięćdziesiąt rubli zaliczki: zarobisz, to potrąci się tobie. Tam stolarnia, to były trzy deski i koziółki i trzeba było sobie narę czyli pryczę zrobić. Jak masz z cze- to sam, a jak nie to worek jaki na siennik. Do tego dali siana czy słomy prasowanej. A nakrywać się, to czym miał kto. Początkowo liczyli, że może pomogą ci ludzie, do których nas skierowano. Niektórzy trafili do lepszych, to pomogli. A do niektórych to było różnie. Dochodziło do zatargów.

Ja to nic nie chciałem: tylko kąt, żeby było gdzie się przespać. Bo w dzień, to do pracy. Lato tam jest długie: trzy miesiące. Temperatury w lecie to osiemnaście a nieraz i piętnaście stopni. A że Jenisiej z góry idzie to latem można i kąpać się. Ale kąpie- li to nie radzę, bo komary i meszka to zje.

Tam drzew i lasów już nie ma. Tam jest tundra. Wystarczyło mech zgarnąć nogą, aby zobaczyć pod spodem lod^d, wieczną zmarzlinę. Bo to już polarny krąg. Tam już nie ma co się dziwić. Na brzegu rzeki piasek, który gdy się przekopało na półtora sztyka łopaty, to widziało się wieczną zmarzlinę. A za pagórkami, w cieniu, to cały czas było

zamarznięte.

Fabryka miała tam swoje kutry rybackie i barki, ścigali z dołu rybę i tę rybę przerabiali. Było tam solenie na konserwy, wędzenie i inne. Nas, takich młodszych, to przeważnie czekał wyładunek. Bo tam podchodzono na punkt takim łańcuchem. Przecież tam lodówek nie mieli. Co złapali, to zaraz na przerób. A te barki to były zapełnione lodem, żeby mieć odpowiednią temperaturę. Gdy nabiera ze dwadzieścia ton ryby, to już wraca, a na jego miejsce idzie drugi. Bo oni obchodzili te punkty po brzegach na dziewięćset kilometrów w tę i na-
zad. Bo tam wioska od wioski czyli osiedle od osiedla rozrzucone po sto pięćdziesiąt, dwieście a nieraz i pięćset kilometrów. Jedna od drugiej. I to przeważnie tylko Korylsk w tym terenie i to miasto. I to nad brzegiem rzeki, po dalej to nic. Osobliwością tamtejszą są renifery.

Tam było tak: jak ktoś pracował, to zarobił. Była tam jadłodajnia czyli stołówka, i tam można było się stołować. Można było tam kupić herbatę czy zupę. I wtedy, już bez przydziału na kartki lecz dowolnie można było kupić chleba i samemu, krojąc od brzegu do brzegu, sam zjeść. Nie był to wreszcie chleb wydzielony. Pierwsze westchnienie: nareszcie.

I też: w tym osiedlu na rybackich punktach zaopatrzenie było lepsze a w tym osiedlu gorsze, ale było to, że liczyłem się na woli /wolności/, Inni się meldowali. Ja trzy razy do komendanta poszedłem zameldować się, a potem powiedziałem: jak tobie trzeba, to przyjdź do mnie. To ja mam chodzić codziennie, tracić czas? Chociaż to osiedle nie było takie duże: kilometr na kilometr. Bo ono było rozrzucone, a domki były parterowe. Tam były tylko dwa domki piętrowe: fabryka i jeden domek na brzegu, że piętro miał. A tak to wszystko niskie. Chodniki tamtejsze to tak wyglądały, że były położone deski, po któ-

rych się przechodziło. Jak tam woda /śnieg/ roztopi się, to powstaje błoto i należy chodzić po błocie. Ponieważ pod spodem jest wieczna zmarzlina, woda nie ma gdzie wsiąkać i błoto się powiększa. Błoto na błocie.

W 1951-ym roku pracowałem w ślusarni to na wyładunku. Na przykład z Dudinki przywiozą barkę węgla. I trzeba ją rozładować. Inna rzecz, że odcinek był mały, ale mieli dwa samochody nawet. Początkowo samochodów nie było wcale, potem był jeden, a wreszcie dali drugi samochód. Jeden to był Zis-5 a drugi ZIS-120. Te samochody wykorzystywano przeważnie wtedy, gdy przywieziono barkę soli lub węgla. Bo przedtem, to układali wąskotorową kolejkę. Wcześniej, kiedy nie było samochodów, to ładunek dostarczano barką, z której wyładowywano na brzeg, a następnie trzeba było to nosić do góry do kotłowni. Teraz samochód dostarczał ładunek pod kotłownię. A sól też wyżej wozili.

Tworzono wówczas brygady, które pracowały po dwanaście godzin. Na węglu to naprawdę można było zarobić. Męczące, ale i większy zarobek. Bo tak, to tylko starczało, żeby żyć.

Zima tam jest bardzo uciążliwa. Najpierw problem ubrań. Tam ubrania nie dali: pracujesz, to sobie kup. Co kupisz, to będziesz miał. W sklepie można było kupić. Były i fufajki i watowe spodnie i wojski nawet. Tam co zarobił, to na jedzenie, a więcej to na ubranie.

Życie tam to była praca. Gdy wracało się z pracy zmęczony, to kładło się spać. Tam w lutym zaczyna się tak zwana "zubatka" czyli ryba, idąca ławicą na miotanie ikry. Trzeba byłoby iść pod Karauł. Ponieważ zimą nie było takiej pilnej roboty, to zbierali ekipy i posyłali na rybakę - łapać rybę.

Pierwszy raz nie miałem rozeznania, ale trafiłem. Tam grubość lodu wynosi półtora metra. Tam nas nie wieźli, trzeba było iść piechotą, sto kilometrów na dwa dni. Bo sieci i inny sprzęt rybacki to

były w Tolstym Nosie, a ludzie, to szli piechotą. Z Ustportu do Kazancewa było czterdzieści pięć kilometrów. Tam była wioska i tam odpoczywaliśmy. I na drugi dzień szliśmy aż do Tolstego Nosa. I tam w domach było zakwaterowanie. Czy mieszkańcy chcieli czy nie chcieli. Bo to jakby nie było, dorzucali około pięćdziesięciu ludzi. Na ten okres trwania. I wtedy tak: jednego, który mniej więcej znał się a dwóch takich, co nie znali się - takie stosowano połączenia. Takiej grupie dawano sieci, dawano sznurki, liny czyli "nastojanki" i należało wystawiać sieci. Przedtem należało przebijając przeręble. A grubość lodu dochodziła do półtora metra a nieraz, jak wylew pęknie, to grubość dochodziła i do dwóch metrów. Trzeba było przebijając przeręble i to tak co dwadzieścia pięć metrów. A potem zakładało się pałki, żeby podpuścić sieci pod lód. I podpuszczało się sieci. Pierwszy raz jak spojrzałem, to nie bardzo wiedziałem, jak to robić, ale potem i sam się nauczyłem. Pierwszy raz to mi dopomogono, a drugi raz to już sam musiałem, bo widziałem, że u niego nie bardzo wychodziło.

W jednym rzędzie stawiało się nieraz po trzydzieści sieci. Sposób stawiania sieci zależał od głębokości w danym miejscu. Głębokość sięgała od dwóch - trzech machów do dwunastu - piętnastu machów /mach - długość rozwartych rąk, wynosiła średnio około półtora metra/. Stawiano od brzegu do środka przestrzegając porządku, aby sieci stawiać w poprzek prądu. I mniejwięcej co siedemdziesiąt, co sto metrów rząd za rzędem. I tak na odcinku pięciu kilometrów. To tam było wystawione ponad sto rzędów, a nawet więcej. Bo tam stawiali i prywatni i sowchozowi i kołchozowi. Bo my to liczyliśmy się od państwowego łowu.

Na trzech dawano pięćdziesiąt sieci, które masz wystawić i dawaj rybę. Rozstawianie sieci rozpoczynało się od wyrąbywania przerębli. Ale najgorzej to było jednak podpuszczać sieci pod lodem tak, żeby od przerębli do przerębli trafić. Tu trzeba było wyrąbywać kanał

na cztery metry i to skośnie, pod lód. Tu posługiwano się listwą czyli deską. I tak: grubość pięć do siedmiu centymetrów z tych desek a później piętnaście - dwadzieścia milimetrów. To z tego zbijało się taką długą listwę. Do tego przywiązywało się sznurek i od przerębli do przerębli to się przepędzało.

Bywało tak, że trafisz dobrze, ale bywało: że pójdzie w górę albo w dół. Wtedy trzeba było wyłapywać, wyszukiwać albo wszystko cofać. I drugi raz puszcząć. I potem tak od przerębli do przerębli. Jak złąpał sznurek, to wtedy przywiązywał siatkę na drugi koniec sznurka i przeciągał tu. I w zależności od głębokości brał sznur gruby tak zwana "stojarka", do niej kamień kotwiczny /był to zwykły kamień oplątany sznurkiem/ spuszczał do dna, a przy dnie przywiązywał tę siatkę. Chodziło o to, żeby ta siatka była stojąca. Na górze dawano pławiki, żeby ta ściana była naciągnięta.

Sieć nie mogła być naciągnięta zbyt mocno. Musiało być tak naciągnięte, żeby równoważało. Gdy trzeba było wystawić taki sieci dwadzieścia - trzydzieści w rząd, to też było przepędzenia. I potem przy ostatnim też trzeba było wyrąbać kanał i tę listwę do przepychania to też trzeba^a było wyciągnąć. Bo jej pod lodem nie można było zostawić, bo drugie nie pójdzie.

Nieraz mijało dwa i trzy dni, zanim podpuścisz jeden rząd. Bo tych przerębli trzeba było wyrąbać bardzo dużo, robota ciężka, a tu jeszcze mróz dochodził do czterdziestu - pięćdziesięciu stopni. Same stopnie to jeszcze znaczyły nie tak wiele, jeśli nie było wiatru. Ale jak z wiatrem, to oj .

Podpuszczanie było trudne, ale i trudne też było potem przeglądanie sieci. Wyrąbywanie przerębli odbywało się za pomocą specjalnych narzędzi: na drewnianym trzonku były osadzone takie metalowe, specjalne pietrznie. Były to po prostu dłubaki. Przypominały one dłuto z taką bródką skośną, która była ostrzona. I tym się dłubało a cały

urobek wybierało się łopata. Jak już łopata nie było można tego robić - to wiadrem wyczerpywało się lód. Góra to jeszcze dobrze szła. Najgorzej było na ostatku, dobijanie się do wody. Czasem mocniej uderzysz i przebijesz się. I nagle woda idzie. Zanim wyskoczysz z tej przerębli, to zamoczysz całe wojski i nie tylko. Bo przecież głębokość przerębli sięgała niejednokrotnie i dwóch metrów. Taka przerębel miała osiemdziesiąt centymetrów średnicy, do metra. Taka przerębel pobędzie dwa - trzy tygodnie. Po tem brzegi obmarzają i znów trzeba czyścić.

A potem sprawdzanie sieci. Otwierasz, i dobrze: mróz to mróz ale bez wiatru. A sprawdzasz gołymi rękoma przy takim mrozie. Inna rzecz - przyznam - woda ma temperaturę plusową. I to jedno jest, że te plus cztery stopnie - bo woda idzie od dna - te plus cztery stopnie idzie po rękach. Ale jak jest wiatr, to pociągnie w jednym momencie i w jednej chwili masz białe ręce. Robiliśmy niby takie płachty zasłaniające z brezentu, były ustawiane od strony wiatru, na kołkach. Żeby silniejszy wiatr nie był.

I to właśnie było najgorsze. Na tym to wiele osób odmrażało sobie ręce. Zwłaszcza ci początkujący, bo starsi to już więcej na ten temat wiedzieli.

Jeśli była zła pogoda i nie poszedłeś, to oznaczało niewykonanie normy. Wtedy do akcji wkraczał taki "popędzajło": jak to? Nie wypełniłeś normy? Odpowiadałem: a jeśli ja odmrozę ręce, to co wtedy? Wtedy to ja wyskoczyłem. Bo gdy inni to przyznają jemu rację, to ja wyskoczyłem: jeśli wszyscy poodmrażają ręce to ich wszystkich skierujecie do szpitala? A on na to: ale tu przecież państwo czeka, a tu normy nie wypełnione. Odpowiedziałem: jeśli będzie pogoda lepsza, to ja w dzień dwie normy zrobię. A dziś nie byłem. I tak się z nim ściągłem się z nim. Zaczęto mnie powoli uspokajać. A jeden z kolegów powiedział: bądź cicho, ty lepiej z nim nie zadzieraj. Tylko to mi powie-

dział. A tamtemu też powiedzieli, żeby sobie za dużo nie pozwalał, bo "on ciebie za bardzo przegryzie". I powiedziano mu, że jestem Polakiem. Gdy on usłyszał, że jestem Polakie, uspokoił się. Bo on wyraźnie liczył na to, że tu ze mną tak będzie jak z Łotyszami czy z Litwinami. A potem ze mną jeden Litwin też tak dopomagał. "eż się nie dawał."

W taki to sposób łapało się ryby od końca lutego do końca maja. Tak do połowy, do dwudziestego maja, wtedy bowiem szła ta ławica. Wtedy bywało, że na nas trzech łapało się osiem, dziesięć a bywało że i dwanaście ton ryby się nazbierało. Za ten okres. A płacono nam od kilograma ryby: ile złapałeś tyle i dostałeś. Chyba że zdało się ponad plan. Bo tam wszystko było planowane. Jeśli się zdawało ponad plan, to wtedy tam jeszcze był narzut, za ryby zdane ponad plan. Jeśli było na przykład - bo cen już nie pamiętam - za kilogram ryby płacono dziewięćdziesiąt kopiejek, to za ryby zdane ponad plan płacono za kilogram rubel dwadzieścia kopiejek. Płacono więc już drożej za te parę kilogramów, które były ponad plan. Ale obecnie cen już nie pamiętam. A jeśli zdawano jeszcze więcej, to płacono po sto pięćdziesiąt procent.

Wreszcie następował koniec rybałki, bo z góry woda zaczyna już topić się. Bo to już był maj i w Krasnojarsku i cała góra rzeki już topnieje. Woda przybiera i tu u nas zaczyna nieraz wylewać i wówczas skończyła się ławica. A ławica szła tylko na miotanie ikry. A ryba była takiej mniej więcej takiej wielkości, jak średni śledź, około dwudziestu centymetrów długości. Nazywano ją zębata dlatego, że ona przypominała do pewnego stopnia piranię. Miała olbrzymie zęby, zębaty był język i cała była zębata. Nieraz, gdy zaplącze się tymi zębami w sieć, to trudno ją stamtąd wydostać. I tu też trzeba było pamiętać: jeśli nie wydostałeś tej zaplątanej ryby natychmiast, to na tym mrozie zamarała natychmiast i potem w ogóle nie można było jej

wyciągnąć. Bo sieć były namoknięta i zamarzała natychmiast. Trzeba więc było wyciągać ryby natychmiast. A na kilogram trzeby ich było piętnaście sztuk, żeby kilogram wyplatać.

Z pogodą to nigdy nie było nic pewnego. Gdy wychodziliśmy, to często była ładna pogoda. Z Tołstego Nosa - gdzie mieszkaliśmy - do łowiska było około dziesięciu kilometrów. Do tego miejsca, gdzie sieci stały. Wychodziło się z rana, a wracało się wieczorem. Tak więc na łowisku spędzało się cały dzień. I tak przez cały czas człowiek pracował schylony, zgięty, żeby być jak najbliżej wody. I tak: wyciągasz sieć, nawijasz, a ona szybko marznie. I potem trzeba znowu ją wciągnąć, a ona jest namarzniona. A wciąganie przebiegało w ten sposób: podciągasz, podejmujesz tę stojankę, odwiązujesz od tej liny z kamieniem, następnie przywiązujesz do sznurka, cienkiego sznurka i do tej przerębli ją wyciągasz ją na lód, wyplątujesz rybę. Kiedy już to zrobisz, to bierzesz ją do przerębli i ciągniesz z powrotem, na swoje miejsce, przywiązujesz do stojanki i znowu ją puszczasz. Żeby była nadal na swoim miejscu. Przecież bez przerwy nie będziesz jej przepędzać i szukać. Ona mu tutaj swoje miejsce i tu ona musi nadal stać. I to było to całe łapanie ryb.

Po pierwszym roku popatrzyłem, że samemu jest tu za ciężko. Bo byłem sam jeden. Więc wziąłem sobie kobietę stamtąd. No bo cóż? Jak mnie stąd wzięli, to miałem dwadzieścia lat. A w roku 1951-ym to miałem lat dwadzieścia sześć. Tak więc w tym roku dobrałem sobie kobietę. I z nią tu potem przyjechałem.

Potem jeden rok w Ustporcie, jeden rok na rybałce, a potem mnie przerwali tam gdzie ci rybacy byli. To znaczy przerzucono mnie do Tołstego Nosa. Tam, bo zadarłem się ja z dyrekcją. Bo oni tam są przyzwyczajeni do tego, że to, co oni mówią, to jest święto. Dyrektor często mi mówił: patrz, bo popadniesz tam, skąd przyjechałeś. Ja mu odpowiadałem: mój formularz jest już zapisany, a twój jest czysty. I ty też mo-

możesz tam trafić. Tak mnie straszył, że ja znowu trafię do tych obozów. A to już nie było mnie straszne. No to wtedy on postanowił pozbyć się mnie z tego Ustportu. Bo inni pójdą za mną. To już dlatego mnie trzeba posłać na rybacki punkt, do tego Tolstego Nosa. I tak się stało.

A tam praca jaka? Różna. To rybakka to inne rybaczenie. Nie znał człowiek rybaczenia, ale musiał. Na przykład w Ustportcie to węgiel był. Chociaż można było zarobić dodatkowo na węglu, który przywozili z Dudinki. A w tym Tolstym Nosie - to drzewo. Co sobie złapałeś, to miałeś. A jak nie złapałeś, to siedź w zimnym.

Tam zamieszkiwałem pół domika, czyli pokój i kuchnia. I to na rodziny podzielona. I to tam nam dali takie mieszkanie. Mieszkanie dali owszem. Ale dalej staraj się sam. A w roku 1952-gim to miałem już rodzinę i mnie tam przerzucili, bo t~~o~~ za mocno im zacząłem dokuczać. Latem to rybaczenie przebiegało z łódki. Właśnie z łódki rzucało się sieci i wystawiało się. Do tego trzeba było głębokiej wody przynajmniej na dwanaście machów. A dwanaście machów to gdzieś do dwudziestu metrów. Bo kto tam metrem mierzył? Mach to gdzieś około półtora metra. I tam, na rybakce, to tylko na to określali. Na metry nikt nie określał.

Tam przekonałem się, że jeśli wiosną, po przejściu lodu, nie złapałeś drzewa, to już nie miałeś czym palić. Bo w górze r~~ę~~ki wraz z przejściem lodu puszczano spław drzewa. Bywało nawet tak, że razem z lodem spływało i drzewo. Bo w górze Jenisieja były olbrzymie połacie lasu rozciągały się. A w Turuchańsku, Igarce i w Dudzince były olbrzymie tartaki. To to, co z góry spuszczały, to w dole wyłapywali. Dół też musiał mieć, te wszystkie osiedla, musiały mieć drzewo. To, co nałapałeś sobie, czyli nachwytał, to miał sobie na zimę. A jak nie nachwytał, to zimą chwyta. A zimą co?

Tam była tylko tundra i rosły tylko krzewy. Na południowych zbo-

czach rosły krzewy, tak zwany tajnik. Czyli olszyna karłowata i brzoza. To tam grubości palca pęd, który przeciąłem, pod szkłem powiększającym policzyłem słoje. Wyszło na osiemdziesiąt lat. Ale te słoje policzyłem dopiero pod szkłem powiększającym 1:10. Dopiero wtedy je można było odczytać. A tak, to nie. No bo wiele za te trzy miesiące w roku, na lodzie, ono mogło narosnąć? Ale jednak rosło, pokazywało się. Podobnie było na wyspach, które powstawały na rozlewiskach. To tam tajniki były większe.

I to była cała roślinność tundry: mech i na południowych stokach te krzewy. Ale tylko z południowej strony, bo z północnej to tylko mech i nic więcej.

Byłem więc w Tokstym Nosie. Pobliskie miasto Karauł, to był rejonowy center. Do tego rejonowego centra miałem siedem kilometrów. Tu też kazano mi się meldować. Ale ja gwizdnąłem na to wszystko. I tak zostało.

Podstawą tamtejszego transportu to były pieski. Pieski albo renifery. I każdy z tych rybaków miał cztery, pięć, a to i siedem psów. No, a latem pozostawała fuzja. Początkowo, ponieważ byłem zsylny, to o fuzji to nie było co myśleć. Bo to jak to? Niedowierzenie. A potem i fuzję przypisali i dali. Komendant, który zobaczył, że mam fuzję bez pozwolenia, chciał mi ją zabrać. Powiedziałem mu: to ja ciebie nie poprowadzę dalej. A ja już znałem teren. To on mi fuzję zwrócił i pozwolenie dał. No bo inna rzecz: człowiek był na swoim. Jak powiedział, tak i musiało być. I dlatego oni może i mnie cenili. Przy pierwszym spotkaniu mówili: o, Palak takij nie takij. A potem, już po paru latach, to już było: Palak powiedział. Palak tak skazał. Tak i to dołżno być. Doszło więc do tego, że jak ja powiedziałem, tak i musiało być. I tak było.

Wyrwałem się stamtąd po śmierci Stalina, w 1953-cim roku. Najpierw to był Malen'kow, to została zniesiona zsyłka. Bo tak to niewiadomo by-

było:wiele,co,jak.Już niby zsyłka zniesiona i "podpisz obywatelstwo". Nas w tym terenie było trzech Polaków.Jeden zmarł, a jeden Polak był z Łotwy.Był wywieziony z Łotwy,ale Polak,mówił po polsku.Na Łotwie żył.I oni co:podpisz obywatelstwo i wtedy dobrze będzie.Ja na to odpowiadałem:dobrze mi było bez tego i tyle lat,to i teraz też dobrze będzie.Bo kto podpisał obywatelstwo,to ten już powrotu nie miał. Tam już zostawał.

W roku 1953-cim i 1954-tym zacząłem starania.Tu muszę powiedzieć że pierwszą łączność z domem uzyskałem dopiero w 1950-tym roku.Pomogła mi w tym radzistka z Ustportu.Wykorzystała do tego celu tzw. trzynasty drut,prywatnie ze swoim kolegą.Ja jej trochę pomagałem, też jeszcze jako kawaler.Ona pracowała na radiostacji i bezpośrednio rozmawiała z Moskwą.A tam na radiostacji pracował jej kolega, z którym ona właśnie rozmawiała.Ona mi powiedziała:daj adres i pisz, Tylko pisz polskie słowa, ale ruskimi literami.A on trzynastym przewodem pośle dalej.no i w porządku.Napisałem:jestem zdrow,żyw znajduję się tu.Wszystko w porządku.A co u was?To był mój pierwszy kontakt z domem.Już po czterech dniach ona mi przyniosła odpowiedź.Przyszła odpowiedź tą samą trasą.A listy,których napisałem wiele, wszystkie zaginęły.

Przynosząc mi odpowiedź powiedziała:nadeszło trzynastym drutem, tylko milcz.Ta wiadomość nadeszła z Białegostoku.Do Białegostoku przekazano wiadomość bezpośrednio z Moskwy.Była to moja pierwsza wiadomość z Białegostoku.Był to gdzieś październik 1951-go roku. Od1944-go roku,od aresztowania.

Potem zaczęły się listy.Ale to nie było nic pewnego.Jak coś więcej napiszesz - to guzik:nie dojdzie.Nic takiego napisać nie mogłem,bo wszystko szło przez cenzurę.Także samo i od nich.Nieraz ich list przepadł, a czasem tak pokreślony, że nic nie przeczytasz.Widać, że coś było napisane a teraz jest zakreślone i nic nie można prze-

czytać. Tak to nawiązałem kontakt z domem.

W 1954-tym roku zaczęto nalegać na mnie, abym przyjął paszport, to wtedy będę już pełnym obywatelem. Ja na to odpowiadałem: paszport możecie mi dać, ale bez obywatelstwa.

Starania na dobre podjąłem w 1955-tym roku. Przedtem musiałem postarać się z domu o wyzyw /takie niby wezwanie przez rodzinę do powrotu/. Ten wyzyw miał być poświadczeniem mijego obywatelstwa/oczywiście obywatelstwa polskiego/.

Następnie zwróciłem się do "WIRU" do Krasnojarska /oddział wiz i rejestracji/. Stamtąd musiałem zwrócić się do miejscowych władz, że z niczym nie zalegam.

Dostałem wszystkie potrzebne mi papiery, chociaż nie bez trudności. Nawet z tego tytułu nie postawiłem ani jednej butelki wódki. Miałem też pewne kłopoty z pożyczką rządową. Gdy się jedną wypłaciło, to zmuszano do podpisywania następnej. A na co szły te pożyczki? Oczywiście na zbrojenia, jak to u nich. Przecież jak byłem u nich w obozach to widziałem, co to wszystko znaczy.

Ludzie tamtejsi to tak jak ludzie. Różni. Tak jak wszędzie, na całym świecie.

W czasie drogi powrotnej byłem wezwany w Moskwie na jedną konsultację a w Brześciu byłem znowu wezwany na drugą konsultację: tylko patrz, co masz mówić i żebyś nie gadał za wiele.

Już na polskiej stronie, w Białej Podlaskiej, to mnie też zgniewało. Siedzący tam urzędnicy wyraźnie się panoszyli i pili herbatkę. Powiedziałem im: dajcie mi co trzeba. Niektórzy siedzieli, po polskiej już stronie, długo w oczekiwaniu na dokumenty. Ja awanturowałem się, i chyba dlatego moje dokumenty załatwiono bardzo szybko, bo tylko czekałem osiem godzin.

Stosowałem taką zasadę: gdzie mnie traktowano grzecznie, to i ja byłem grzeczny. Ale bywały i takie sytuacje, kiedy musiałem stanąć

okoniem. A czasem to trzeba było "po matuszkom" posłać. I to tak było po naszej stronie. Do nasi urzędnicy piętrzyli trudności przy załatwianiu najprostszej sprawy. Wieszamowite kłopoty były na przykład z przeniesieniem dokumentów z jednego pokoju do drugiego. To ja już sam nosiłem swoje dokumenty. A ci urzędnicy dziwili się, że przecież dokumenty powinien nosić kto inny.

Wreszcie zdenerwowałem się: od czego wy tu siedzicie? Czy jesteście tu po to, żeby nam pomagać czy po to, żeby paść się? O to, to im bardzo się nie spodobało.

Kolejny problem wiązał się z przejazdem do Białegostoku. Jadąc do Polski, w Moskwie posłałem do siostry telegram, że przyjeżdżam. Siostra czekała na mnie już w Terespolu. Kiedy pociąg przekroczył granicę zatrzymał się w Terespolu i tu weszła polska zmiana. A moja siostra zaczęła mnie witać przez okno. Wówczas polski oficer zapytał mnie o dokumenty. Odpowiedziałem mu niegrzecznie: a pocałuj psa,, Daj papiery. Odpowiedziałem: siostry nie widziałem przez czternaście lat. Możesz poczekać jeszcze pięć minut.

Formalności, jak już mówiłem, załatwiłem w osiem godzin. Wówczas dowiedziałem się, że najbliższy pociąg będzie jutro koło południa. Ponieważ otrzymałem po trzysta złotych od osoby "wjazdowego", zacząłem szukać jakiegoś pojazdu. Udało mi się znaleźć wojskową ciężarówkę. Z pewnymi trudnościami dogadałem się z polskim kapitanem, który pochodził z Mołodeczna i przewoził swą rodzinę. Z nim razem dotarłem do Białegostoku.

Tak to, po czternastu latach znowu znalazłem się w Białymstoku.

Notował: S. Sianko.